



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGA WĘDKA.

Rauty, koncerty, odczyty, mające oczywiście jakiś cel filantropijny, są codziennymi niemal wypadkami dnia podczas zimowego sezonu. Bawią się na nich, albo nudzą, to zależy od umiejętności urzadzenia zebrań rautowych, magnesu—jaki ma koncertant, popularności prelegenta i obranego przedmiotu. Bądź co bądź, publiczność nie zawodziła nigdy. Jedni dla zabicia nudów, inni z obowiązku przyjscia z pomocą lub nieraz prostą ciekawością wiedzeni, wypełniali sale rautów, koncertów i odczytów i rzeczony cel osiągał swój skutek. Z nastaniem ciepłych dni wiosennych, zmienia się teren popisów filantropijnych: opróżniają się Sale Muzeum, Ratusza i Resursy kupieckiej, ztrójona liczebnie publiczność szumiącą falą płynie ku Dolinie Szwajcarskiej, czeka na kosze szczęścia w uroczem „Frascati,” z drzeniem serca śpieszy na plac wyścigowy. Cele filantropijne przepłatają się z popisami naszych wioślarzy, rowerzystów i dosiadaczy rumaków; myśl o totalizatorze niejednemu spędza sen z powiek, piękne panie marzą o „walce kwiatów” i zawczasu stroją swe nadobne usteczka w uśmiechy ponęt pełne.

O wyścigu cyklistów niewiele mamy do powiedzenia. Będąc panami samych siebie, wolno im jest nastawiać plecy na palące promienie słońca, łamać rowery, które nie czują zmęczenia i bata, przybywać do kresu zupełnie wyczerpanymi. Za to zmęczenie płuc, narażanie się na udar słoneczny i inne przypadłości—odpowiadają sami, wykrzywione grzbiety ich żelaznych rumaków nie wzbudzą w nikim litości, również, jak i oni sami, choćby omdlewali ze znużenia. Ich to jest rzecz, ich wola,

zachcianka ich fantazyi czy humoru. Ale—wyścig konny, właściwiej: rezultat tego wyścigu, smutne nam myśli nasunął. Przestrzeń stuwiorstową do mety naznaczonej i zpowrotem, miały odbyć konie, mniej więcej, w przeciągu godzin sześciu. Wyruszone w sam upał—tego (jak o tem niżej wspomniemy) wymagała logika totalizatora.

Nie rozumiemy czemu się tłumaczyć może wyznaczenie dystansu tak wielkiego, w stosunku do małej ilości godzin. Prawdopodobnie, że urządzający ową zabawę, zapomnieli, iż popisowcy nie bezduszne dosiadali maszyny, lecz istoty żywe, mające płuca, które zniszczyć się mogą i krwią się zalać z nadmiernego wysiłku, mające nerwy czujące zadaną im krzywdę.

Lecz gdzie było Towarzystwo Opieki nad zwierzętami?

Jeden ze złośliwych chochlików szepnął mi był na ucho, że paru członków należących do tego opiekuńczego Towarzystwa, należało też do urządzających ów bezlitośny wyścig.

Czy tak?

A no—nie wiem! chochliki często kłamią, nie biorę więc na siebie odpowiedzialności za ich podszept niegodziwy. Skłamał pewno, paskudnik, to też napędziłem go porządnie i nawet za delikatne uszko wytargałem; krzywił się, płakał, mimo to—brzydali wyrwawszy się z rąk moich i będąc już w przyzwyczajonej odemnie odległości—odezwał się, zuchwale:

— E pur si muove!

Nie wierzę mu jednak—ale to zawsze mnie nie powstrzymuje od powyższego pytania. Być może, że w podobnych, jak wyżej, wypadkach, atrybucje Towarzystwa opieki nie nie znaczą. Nie znam się na tem—lecz, bądź co bądź—stał się fakt wstrętny, tak wstrętny, że powinien rumieniec wstydu wykwitnąć na twarzy społeczeństwa, które przecież do ucywilizowanych się zalicza.

Do wyścigu stanęło czterdzieści koni—wróciło kilka, reszta nieszczęsnymi swojemi trupami zaległa drogę. W chwili, gdy piszemy te słowa, liczba ofiar nie jest jeszcze dokładnie wiadoma, według ostatnich jednak wieści, trzydzieści i jeden ciał zwierzęcych zasiało dystans wyścigowy.

Wybaczcie mi, panowie, parei chęcią zdobycia złotych żetonów i nagród pieniężnych, ale postępek wasz od wielkiej nawet nagany nie jest wolny, a zasługa zbyt marna, choćbyście złote berło zdobyli, bo zawdzięczałbyście je—nogom końskim, wytrzymałości ich płuc, z których okrutną igraszkę zrobiliście sobie. Ale dzisiejsza etyka nasza zabrania pastwić się, nad bezrozumnym wprowadzie zwierzęciem, lecz czującym każde targnięcie waszego niecierpliwego wędzidla, każdy ostrz ostrogi w bok wbity, każdy ból sforsowanych piersi. To nie rycerskość, lecz barbarzyństwo, które powinno mieć osobny swój paragraf w kodeksie. Bezrozumne zwierzę, zostaje zamęczone przez rozumnego człowieka—to ironja! Coraz to nowe niespodzianki przynosi nam koniec dziewiętnastego wieku, potrzeba zwrócić się do zapomnianych bajek Jachowicza i Krasickiego, nieźle by było powtarzać codziennie wierszyki o chłopcach, którzy się źle bawili, o Tadeuszu karmiącym muchy chlebem z miodem.

— Będą gniewy—ktoś szepnął mi na ucho:

Mamże zamileć z wypowiedzeniem przekonani swoich?

Dla czego?

Każda myśl, każde słowo, czyn każdy, który wyszedł za próg domu na ulicę, staje się własnością publiczną i głośnej podlega krytyce. Tego już żaden prawodawca nie zmieni, tak było, jest i będzie. Jeżeli wolno chwalić to i ganić jest wolno, tem bardziej, gdy notowany fakt obecny potrąca o publiczną moralność, bo o szlachetność uczuć, których, w każdym zdarzeniu czujnymi stróżami być obowiązani jesteśmy.



Nie dobrze byłoby, gdyby społeczeństwo nie oburzyło się, widząc podobne jatki zwierzęce, gwoli własnej urzędzone fantazy. Na szczęście! nie jesteśmy osamotnieni. Wytrwałość jeźdźców nie wprawiła nikogo w zachwyt, natomiast, pomordowanie w nielitościwym biegu zwierząt—oburzyło wszystkich. Mamy nadzieję, że podobna zabawa nie powtórzy się raz drugi, że protest ogółu silniejszym będzie nad zacheianki sportmanów.

Ale—pomijając zapaleńców, którzy nie mieli litości nad zwierzętami podległymi ich władzy—mimowoli, rzuci się każdemu w oczy pytanie, co zmusiło Towarzystwo, do oznaczenia tak wielkiej przestrzeni na tor wyścigowy, który być musiał przebieżony w mniej więcej oznaczonym czasie?

Odpowiedź wypada bardzo smutna, a nie naszą jest wcale. Ze wszystkich spraw tego świata, najmniej nas osobiście obchodzą wyścigi z totalizatorem czy totalizator z wyścigami. Szczęśliwi, co nie innego nie mają do roboty, których spokojnych dusz nie zatrują żadne myśli niespokojne—szczęśliwi, oczywiście nie w naszym mniemaniu. Odpowiedź na powyższe pytanie zwrócone w stronę Towarzystwa, dał w „Słowie“ człowiek kompetentny w sprawach onych, hr. Jerzy Moszyński, który sprzeciwiał się stuwiorstowemu biegowi, zwracając uwagę komisji wyścigowej, że przestrzeń oznaczona za małą jest, jako dystans, za wielka, jako tor wyścigowy. Zdania tego nie uwzględniono.

Dlaczego?

Albowiem Towarzystwu chodziło głównie o interes totalizatora. Urządzono więc wyścig, któryby mógł się zakończyć w przeciągu godzin kilku, aby licznie zebrana publiczność widziała wyjeżdżające i wracające tego samego dnia konie, przyczem totalizator mógłby mieć obrotu jakie kilkadziesiąt tysięcy rubli. Ten sam wzgląd wymagał jednoczesnego startu na wyścigowym torze i to podczas największego upału, dla tego względu odrzucono zdrowe rady hr. Moszyńskiego, dla tego też względu dokonano barbarzyńskiego czynu zajęcia na śmierć trzydziestu koni, o których losie nawet dokładnych informacji nie zebrało Towarzystwo i nie dało żadnej szczegółowej wiadomości.

Smutno!

Staliśmy nieładem, dziś leżymy pod płaszczem beznadziejności. I czy to tylko w tym jedynym wypadku?—Mimowoli przypomina się nam znana bajka Krasickiego, z którą się zwrócił do dzieci, mówiąc:

Przestańcie, bo się źle bawicie,

Dla was to jest igraszka, nam idzie o życie.

O życie—koni—Naturalnie!

Zanim Warszawka się wyludni, zanim nastąpi tak nazwany sezon ogórkowy, w którym książki zalegają półki księgarskie, panny sklepowe w wystawowych oknach siedzą godzinami całymi, oczekując kupujących, tygodniki drukują wiersze poetów *minorum gentium*, a kto tylko może opuszcza rozpalone bruki miasta—zanim to wszystko nastąpi, miasteczko nasze korzysta z dobroczynnej wiosny i jej uroków i napełnia ogródki podmiejskie i restauracje z ogródkami wewnątrz miasta, gdzie brzmi rozgłośnie: „Świr, świr za kominem“ albo klasyczna muzyka niemiecka w Dolinie Szwajcarskiej. Zebrania zaś towarzyskie, tak zwane rauty zimowe, przemieniają się na loteryę fantową, kosze szczęścia zawsze służą, jako przynęta dla ludku i ludek bawi się obojętnie i rad jest, gdy w braku czego innego, za wydane 25 kopiejek obdarzy go fortuna choć lichtarzem cynowym. Nasz *high-life* nie próżnuje także: pracowite wyścigi przeplata balami, w których objawia swoje demokratyczne usposobienie. Oto d. 10-go bieżącego miesiąca, odbył się wspaniały bal wiejski u hr. Potockich w Jabłonnie, na który przybyło przeszło 100 osób, przeważnie w kostiumach ludowych. W „Weselu krakowskim“ we właściwym stroju wieśniaczki, wystąpiła ks. Marya Woroniecka, panem młodym zaś, stukającym w podkówek był hr. Zamoyski.

W „Błękitnym“ też pałacu Zamoyskich odbyła się równie chuczna zabawa, podczas której dziewczka sławnego rodu, weszła w świat poraz pierwszy“.

Tak! Warszawa się bawi, karnawał letni nie a nie z praw swoich nieustępuje. W ogródkach muzyka, w salonach baliki i bale, nawet stróż siedzący z obowiązku przy utrapionych drzwiach kamienie, tną wesołego oberka lub hulaszczego mazurka na rozstrojonych harmoniach, mało zważając na niezadowolone lokatorów, szczególnie tych, trzechpiętrowych, którzy, z wysiłkiem nieraz, pchają taczkę swojego życia i budzą niejedno tętno zamierającego gdzieś serca. O nich świat dziś może nie wie, lecz dowie się jutro i pamiętać będzie; imiona innych wspomina często dzisiaj, lecz dnia jutrzejszego zapomni. I tak się wyrównują nierówności świata, i tem się niesprawiedliwość losu nagradzają.

Dnia 13-go b. m. według dorocznego zwyczaju „Frascati“ zajaśniało chińskimi lampionami i światłem elektrycznym. Zabawa urządzona na cel Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi, udała się zupełnie, tłumy napełniły prawdziwie piękny ogród hr. Branickiego, wiedzione, częścią poczuciem obowiązku, częścią—nęąciami zawsze—koszami szczęścia, wreszcie koniecznością, choćby pogapienia się chwilowego. Przed pałacem znajdowały się dwa pawilony, ubrane w zieleń—i kiosk; w pawilonach, uproszone damy sprzedawały chłodzące napoje, w kiosku bilety na tambołę, z werendy zaś pałacowej pan Popiel zabawiał gwarne, szumiący tłum niktami obrazami, darząc widzących pięknymi widokami ojczyzny krokodyłów i wesołymi obrazkami z życia. Do tego muzyka wojskowa grała na przemian, szafrowego nieba namiot rozciągał się nad głowami, a choć podejrzane chmury zatrzymywały się co chwila, od których nasze niebo nie jest nigdy wolne, zabawa dobiegła do końca z zadowoleniem uczestników i inicjatorów.

Ale największą siłą przyciągającą miało od dawna zapowiadane *Corso*. Pomni tłoku, jaki panował podczas pierwszej zabawy kwiatowej w Łazienkach, gdzie zielone trawniki zgniecione zostały pod stopami kilkunastutysięcznego tłumu, a i bez mniej bolesniejszych nie było się wypadków, bo to ten to ów z wysokości mostka do wody zleciał i nieproszenie użył kąpieli, nawet o jednym rozjechaniu mówiły dzienniki; pomni więc na to wszystko urządzający *corso* kwiatowe, jako miejsce zabawy obrali na Mokotowskim polu—plac wyścigowy. Czy wybór był dobry, nie do nas sąd w tej materii należy. Lecz ponieważ każda rzecz ludzka ma zawsze dwie strony, dwa sądy i dwa zdania—temu ogólnemu prawidłu podlegać więc musi i owa czysto włoska zabawa, na grunt warszawski przeniesiona. Dla jednych był wybór rzeczoności placu, zupełnie dobry, dla innych—zupełnie zły. Do pierwszych należą uczestnicy zabawy, którzy w ukwieconych lub nieukwieconych powozach kręcili się w kółko, rzucali i otrzymywali nawzajem nie nieszkodliwe razy, zresztą ci może, a za opłatą pięćdziesięciu kopiejek mieli prawo wejścia do środka areny; do malkontentów należał tłum szary, pragnący choć zdaleka przypatrzeć się wielkopańskiej zabawie, ażeby, powróciwszy do szydła, kowadła lub łopaty nawet, mieć o czem rozpowiadać dzieciakom w domu i sąsiadom z przeciwną. Owóż ten tłum szary...

— Przepraszam—przerwał mi w tej chwili, zacierając przez ramię piszącego tę kronikę, jeden z wielkich amatorów *corsa*. Przepraszam—chciał pan powiedzieć, że ów tłum szary zadowolony wcale nie był?

— Tak...

— Zkąd pan posiadł tę wiadomość?

— Zkąd? Widzisz, mój kochany panie, byłem w środku areny, wsiadłem na chwilę do powozu, miałem szczęście dostać w nos bukietem nakrapianych goździków rzuconym przez bardzo miłą rączkę, następnie w tem tłumie o którym mowa, wniósłem się.

— I słyszałeś głosy niezadowolenia — przerwał zapalony *corsista*,—które niezem innym nie były, jak tylko głosami zawiści, że fortuna nie pozwoliła im mieć własnego lub najętego landa, a nawet 50 kopiejkowy wydatek, by wejść do środka areny, za drogim był dla nich. Dziwię się, że pan nawet wspomina o tem niezadowoleniu tłumie, który wszędzie i zawsze jednakim był, jest i będzie.

— Teraz ja pana przeproszę...

— Słucham.

— Niezadowolone o jakim wspominałem, miało całkiem inny charakter. Być może, że i głos zwykłej zazdrości tu i tam się odezwał, ale on nie przesądza sprawy. Szemrano z tej racji tylko, że dwudziestokopiejkowcy byli przez straż utrzymujących porządek wysyłani na środek placu, zkąd *zadnego* powozu nikt dojrzeć nie mógł.

— Ha!—odrzekł mój zapaleniec—dla czegoż nie kupił pięćrublowej łoży, dwurublowego miejsca zreszta, lub prawa wejścia do środka areny? Pan mi odpowiesz: nie kupił, bo nie stać go było na to, Zatem?...

— Zatem,—odpowiedziałem — dano mu prawo zapłacić kopiejek dwadzieścia i przypatrzeć się zielonej trawie na polu mokotowskim. A czy ty wiesz, szanowny kollego, co to jest kopiejek dwadzieścia? Jest to, nie mniej, ni więcej, tylko parę kajzerów, i trzy czwartych funta kiełbasy, to jest: obiad cały, suty nawet, dla niejednego biedaka. Jeżeli więc który z nich zdobył się na wydanie dwudziesto kop. to oczywiście nie dla tego, ażeby brutalnie być odtrąconym od zaczarowanego koła, do którego na chwilę nawet zbliżyć mu się nie dozwolono. Nie rzucam tu na nikogo oskarżeń, trudno jest wszystkim dogodzić. Znadto zbitym pierścieniem tłum areny otoczył, dla tych więc, co się spóźnili, miejsca nie było. Lecz bądź co bądź, za co zapłacił dwadzieścia kop? Słyszałem, jak ten, to ów narzekał—i—nie dziwię się mu wcale i sądzę, że wejście na plac, nie powinno być płatne; w takim wypadku pocieszy widok zielonej trawki, a nie rozgniewa odpędzenie od zaczarowanego miejsca

Zabawa się jednak odbyła i bodaj czy nie z lepszym rezultatem niż przed trzema, zdaje się laty urządzona. Towarzystwo Dobroczynności zyska poważny zasitek a uczestnicy *corsa*, może niejedno miłe wspomnienie.

Pomimo jednak nieładu i paru awantur, które towarzyszyły pierwszej zabawy kwiatowej, widziałem więcej w niej życia, ruchu, większe bogactwo w ubiorze powozów, niż na obecnej. Stanowczo okwieconych pojazdów było za mało, przerywał je szereg długi zwyczajnych powozów, których cała (i to nie zawsze) ozdoba było parę koszyków kwiatów służących do stoczenia batalii. Nie widzieliśmy pięknej, różnobarwnej tęczy wijącej się w dwóch przeciwnych sobie kierunkach, nie widzieliśmy bogactwa pomysłów i w tej niewielkiej ilości ubranych powozów. A przecie cała zabawa polegała na tym kalejdoskopie barw ruchomych, na rześmym deszczu kwiatów, przerzucającym się z powozu do powozu. Przy dźwięku muzyki, przy wesołym gwarze rozbawionych powinna się odbywać owa walka. Tego zupełnie nie było. Gdzie nie gdzie parę kwiatków upadło i ot wszystko.

We Włoszech inaczej.

— Ba! tam temperament narodu inny.

— Tak! Lecz w takim razie,—to po co to naśladownictwo? A doprawdy, że bez tego ruchu, gwaru i śmiechu, które konieczne towarzyszy jej muszą—ten kwiat egzotyczny na nasz grunt przeniesiony—dziwnie smutną ma fizyognomię, dziwnie zwiędłym patrzy obliczem. Jesteśmy bardzo ciekawi, czy owa Zabawa kwiatowa, pozyska u nas prawo obywatelstwa, czy ją potrafimy przyswoić i nadać jej odpowiedni ruch i życie.

Do wyróżniających się powozów, pod względem oryginalności i pomysłów należał wóz emblematyczny „Lawn-tennis“, zaprzężony w czwórce siwych koni, powożony przez poczytliwów. Rumaki unosiły na karkach rakiety, które też jak wachlarze umieszczone były po rogach platformy między girlandami z kwiatów białych. Na wozie tym, w strojach zastosowanych do gry tej, znajdowali się: hr. Maurycy i Tomasz Zamoyscy, ks. Stefan Lubomirski, baron Radoszkowski, p. Łaski i hr. August Potocki. Bardzo ładnym był też powozik p. Wierzbowskiego, ubrany w kłosa zboża i bławatki, z wóznicą w krakowskiej sukmanie, ciągniony przez parę dzielnych gniadoszów. Dalej wyróżniał się jeszcze powóz państwa Stanisławowstwa Filipkowskich tonący cały w różach i goździkach i drabiniasty słomiany wóz p. Namysłowskiego upstrzony w maki i bławatki, z którego płynęły dźwięki dobranej or-



kiestry, a „Swir, swir za kominem“ brzmiało rozgłośnię.

O godzinie siódmej wieczorem, konkursowe jazdy przeszły przed pawilonem sędziowskim, gdzie z rąk gospodyń corsa: Jeżowej księżny Radziwiłłowej, Włodzimierzowej ks. Czetyrtyńskiej i Eugenii hr. Potockiej — właściciele powozów wybranych otrzymali nagrody w postaci chorągiewek z napisami odpowiednimi. Nagrodzeni zostali: hr. August Potocki, rotmistrz Jelee, Karol Namysłowski, Wierzbowski, Stanisławostwo (nie jak Kuryery piszą Stanisławowie) Filipkowsy i kilku innych, o których dotąd wiadomości nie powziąłem.

Po otrzymaniu tych oznak turniejowych, przejechano się jeszcze parę razy, gdzieś tam, żądny panem *et circenses*, z niecierpliwością oczekiwał.

Jak mam was żegnać zwycięzcy batalii kwiatowej? — czy słowem. „Do widzenia na rok przyszedł?“ — Nie wiem!

Zanurzeni w kwiatach, upojeni wonią róż i konwalij — otrząśnijmy się na chwilę z marzeń, miłych może, a jeżdźmy na grunt całkiem inny i o innym corsie pomyślmy.

„Delegacja pracy kobiet“ przy Warszawskim oddziale Tow. pop. rus. przemysłu i handlu powzięła myśl *organizowania wakacji szwaczek*.

Myśl godna pochwały, urzeczywistnienie jej nie byłoby trudnem, jeżeliby ją do serca wzięły mieszkanki wsi i całą jej doniosłość zrozumiały. Ofiarodawczyni małego kąta w swym domu, ciepłej strawy i powietrza, którego przecie nie brak na wsi — wynagrodzoną by była pracą biednej szwaczki, która przez czas bytności swojej, nie małą by korzyść w domowej krawieczyźnie przyniosła.

Niejedna z pań naszych na wsi mieszkająca, potrzebuje niejedną mięt sukienkę, tam i tam uszyć bieliznę trzeba dla siebie, dla męża lub dla dziatwy, albo na nowo kapelusik przystroić — temi więc robotami zając się mogą stosownie uzdolnione robotnice, za co wynagrodzone zostaną paromiesięcznym odpoczynkiem na wsi, nabraniem w swe bledne płuca zdrowego powietrza. Oczywiście, że nie każdą dziewczynę z miasta wpuścić do domu swojego można, ale na tem właśnie polega główne zadanie „Delegacji pracy kobiet“ która pracą swoją prowadzi sumiennie i systematycznie, zbierając szczegółowe wiadomości o moralności i uzdolnieniu zapisujących się kandydatek i dopiero na tej zasadzie, dostają robotnice odpowiednią kwalifikację na wyjazd. Zapisła się już spora paczka tych biedot, nie mało z nich mają zapewnione wakacje — ale w stosunku do 20,000 przeszło pracowni igły, małe procent zaledwie korzystać będzie z dobrodziejstw wsi.

Przypomnienie więc nie szkodzi.

Lecz z ofertami śpieszcie szanowne panie, bo oddział Towarzystwa od d. 1 lipca zawiesza swe czynności na dwa miesiące letnie. Zapotrzebowania piśmienne nadsyłać można wprost do biura: Tow. pop. rus. przemysłu i handlu, Krakowskie-Przedmieście N. 66, dla „Delegacji pracy kobiet.“

??

## W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

VIII.

— Kubik?... Kubik!...

Kubik przyszedł!... — na dwa głowy ze zdumieniem powtarzała Frania i Ludka z przedpokoju pędząc do Joasi.

— Na seryo „Kubek!“ No proszę! — wchodząc za niemi zawołała Hela, która wszystko co mogła z lekceważeniem przekreślać lubiła!

— Czy to tatka i na dziś poprosił go na obiad?...

— Ależ nie, przynajmniej o tem nie wiem, — odparła Joasia, zrzucając szubkę po powrocie z sumy.

— We fraku!... na prawdę Kubik we fraku! hi, hi, hi!... i krawat ma zawiązany nowy, i świeże rękawiczki pomidorowego koloru! — wykrzyknęła Frania, wlatując po raz drugi jak forpocza z rekonesansu, na jaki sama pod drzwi salonu powtórnie się wysłała.

— Mówię wam, to coś znaczy! Już ja wiem, wiem doskonale!...

— Ee?... we fraku? w rękawiczkach?... Jak mamę kocham, oświadczy się!... rzuciła Hela, romanse mająca na myśli — i wypadła z siostrami.

— Czyżby istotnie mógł taki pomysł przyjść mu do głowy?... pomyślała Joasia przerażona przypuszczeniem podsuniętem. — Nie! niepodobna! Gdzież by miał bystrość i oczy?... Chyba że o Helę...

Jednak obawa niewytłomaczona wstrzymywała ją od wyjścia do gości — i niepokój wzrastał w miarę, jak czas płynął. Siedziała też nieruchoma z oczyma przysłoniętymi ręką.

Tyle przemyślała w nocy, tak szczerze modliła się w kościele, a z rodzicami o Adamie mówić nie miała czasu, pierwiej zresztą chciała porozumieć się z wujem.

Wtem biegnięcie szybkie zadudniało.

Helka wpadła usta zatykając i gibocąc się od gwałtownego śmiechu.

— Oświadczył się, jak mamę kocham! Myślałam że pod drzwiami pęknie! Stoi, stoi, mówi coś okropnie długo — i za ciasne rękawiczki wpycha, a tu mu trzask! jedna; ale ani słowa dosłyszeć nie mogłam.

Tylko tatka stoi znów po drugiej stronie stołu, palcami bębni i w końcu odpowiada wyraźnie:

— No dobrze, ja przeciw panu nie mam, ale przecie nie ze mną chcesz się pan żenić, nie ja będę pańską żoną — więc muszę się jej zapytać... No, czy nie formalne oświadczyły? Hi, hi!...

— Święty Boże! — szepnęła Joasia uderzona jakby cegłą w głowę, spadającą z dachu. — O kogoż jednak chodzi? O ciebie?...

— Ależ nie! O ciebie! A to bym się miała zpychać! Dwadzieścia jeden lat ode mnie starszy!... „Kubek!“ „Kubek!“ dziś ma wyczesany czubek jak wiewiórczy ogon... No, ale „pani profesorowa“ — „profesorka“ Kubikowa — winszuję, winszuję, nie zazdroszczę!...

— Dajże pokój, moja droga — nie strój żartów!... Zkąd mógł doprawdy powziąć taki zamiar?...

— No cóż? zakochał się i kwita. „Bóstwo“ — „bóstwu“, „bóstwem“ — ma posadę dobrą. Zaraz po ślubie pewno pojedzie do Grecyi z bóstwem...

— Co ty pleciesz!...

— A bo pewno! Dla czegoż nie?...

— Tobie jeszcze może to wszystko razem się zdawało...

— Ale jak mamę kocham, prawda! Zobaczysz!...

— Jest wuj?...

— Nie, nie wrócił!...

— Wtem obie posłyszały przyciszzone, a nagła wołanie: — Joasiu! Joasiu!...

Helka wysadziła głowę za drzwi: — w drugich na przeciwko, prowadzących z sieni, stał pan Leski i ręką kiwał.

— Joasia zerwała się, pobiegła.

— A chodźże, moja droga. Profesor oświadczył się o twoją rękę — ja nie wiem, co mam z tem robić? — Chodź naradzić się z matką, — mówił kłopotliwie wruszając ramionami. — Czy ja wiem, co ty masz w głowie? Powiedziałem mu, że przecie nie ja za niego wyjdę, więc muszę z tobą pogadać — że zdaje mi się, weale o małżeństwie nie myślisz. — No? czy nie tak? Jakoś nawet nie wypadało przyznać, że myślisz, i ja sam przypuszczam, że sobie tem głowy nie zaprzatasz...

— Więc — ojciec nie chciałby za niego mnie wydać? — głucho zapytała Joasia, której mąciło się coraz gorzej w mózgu ze zdziwienia, przykrości i strachu. Mimo bowiem łagodności rodziców znała, lękała się, by nacisku nie położyli w wypadku ważnym. A przecie niepodobna jej było o Adamie wyznawać w tej chwili i zamęt jeszcze większy sprawiać, gdy postanowienie należało powziąć szybko. Nie wiedziała tedy sama czego się czepić, jakiego szukać wyjścia.

— No widzisz — ja nie wiem, — podjął pan Wiktor w odpowiedzi na jej pytanie. — Ja sam o twojem wychodzeniu za mąż weale dotąd nie myślałem.

Kubik, człowiek porządny i stanowisko ma dobre; tyś bez posagu, nie powinnaś być wymagająca — ale poprostu w głowie mi to nie powstało, abyś za mąż wychodziła...

Tak rozmawiając stanęli przed panią Teklą, która wysłuchawszy krótkiego sprawozdania, płaczem wybuchnęła.

Jej łzy nagle powróciły Joasi przytomność.

— Ależ nie wyjdę za pana Tomasza, nie wyjdę, mamę; nie martw się! — zawołała żywo i stanowczo...

Pani Tekla dalej płakała; bo któż wie — może lała łzy z radości, że córkę wielki los w osobie profesora spotyka?

Joasi umysł wszelako raz otrzeźwiony, już się nie zaciemnił więcej.

— Tak — nie wyjdę! Nie kocham go; nigdy przez myśl nawet mi nie przeszło, abym mu się podobala. Tak niedawno jestem przy was — nie — nie chcę was już opuszczać. Jeszcze nie w domu nie zrobiłam, nauki sióstr rozpoczęte — zostanę! — mówiła najgłębiej przekonana o prawdzie swoich słów — bo „tamtę“ — to przecie zupełnie co innego.

— No, więc dobrze; ale cóż mam mu powiedzieć? Radźcież przecie! On tam czeka, nie można go wstrzymywać; pewno stoi jak na węglach, — rękoma rozkładając mówił pan Wiktor. — Nie chcesz tedy? Ale dobrze rozważyłaś?... Nie będziesz żalować? Sumienie ei wyrzutów nie sprawi?...

Joasia ręką przetarła oczy. Serce w niej zastukało, jak gdyby sumienie rzeczywiście odezwało się z wyrzutem o tajemnicę ukrywaną.

Ale nie! Już teraz nie wyzna — wieczorem.

— Tak, nie będę żalować, — odparła śmiało...

— Więc mi przecie doradzajcie, co mam mu powiedzieć, bo nie wiem z tego wszystkiego, — znów rozpościerając ręce charakterystycznym ruchem nieradności, naglił pan Wiktor. — Nie chciałbym człowieka struć odmową — jakoś mu tę pigułkę przecie osłodzić trzeba...

Pani Tekla ciągle płakała — i ani słowa.

— Powiedz mu, ojeze, że... bardzo dziękuję za zaszczyt, jaki mi czyni, zaczęła Joasia — że mam dla niego szacunek i życzliwość, ale — ale nie chcę jeszcze wychodzić za mąż, — dokończyła zaczerwieniona; bo słowa ostatnie zabrzmiały w uszach jej oczywiście kłamstwem.

— No, to dobrze, — powiedział pan Leski i wyszedł szepcąc „szacunek...“ „życzliwość...“ zaszczyt... — przyczem na palcach przebierał, jak gdyby przepowiadał sobie liczbę sprawunków zleconych do miasta.

Gdy wkroczył do salonu, gdzie oczekującemu Kubikowi pękła z niecierpliwości druga rękawiczka, uśmiechać się począł już od progu, z całą dobrodusnością i obojętnością traktując sprawę, którą inny ojciec byłby ważył co najmniej z punktu korzyści, chluby i praktyczności...

— Widzisz, kochany profesorze, akurat jest jak powiedziałem: Joasia ani myśli o małżeństwie, — rzekł na wstępie. — To poczciwa dziewczyna, chce jeszcze dłużej nam w domu się wystugiwać. Bo to pan nie wiesz, co ona tu zamierza robić i co pozaczynała w ogrodzie! przytem uczy siostry — ho! takiej pracowitości łatwo nie znajdzie!... Powiedziała tedy, że ma dla pana: przyjaźń, życzliwość, szacunek — że sobie zaszczyt ze strony pańskiej ceni — ale nie ma chęci wychodzić za mąż. A pan wiesz, że to z dziewczynami i małżeństwem trudno — jakże tu nawet przymuszać do takiej rzeczy? — śmiał się na dobre...

Pan Tomasz, słuchając, przestępował z nogi na nogę, brodę najeżoną gładził ręką prawą, z której zdjął szmatę rękawiczki — i głową potrząsał w milczeniu.

Już ciż — najsłodsza, najłoicniej umotywowana odmowa, dla zakochanego, to zawsze miotła w wodzie umaczana, smagająca po rozpalonem żelazie. Człowiek syczy w duszy, w sercu — choć uszy natykają mu „szacunkiem“, „przyjaźnią“ — i tem podobnym nieposilnym farszem.

Usta pan Kubik zaciął przez chwilę, jak gdyby nie chcąc wydać głosu — i dopiero po pewnym namyśle, czy też ochłonieniu z przykrości oczy bystre, myślące na pana Leskiego skierował.



— Ale panna Joanna nie ma innych konkurentów? i nikomu serca nie oddała?—zapytał.

— Konkurentów?... A toć, mój profesorze kochany, zkadże by biedna dziewczyna miała ich tak dobierać, jak baba grzybów po deszczu w lesie. Konkurenci, to nie szyszki, co same na łeb leca!... Co zaś serca dotyczy, to ja tam coprawda nie wiem, — już bez śmiechu, a z zastanowieniem ciągnął. — Ja w niej oczywiście nie siedzę, więc ręczyć tak napewno nie mogę. Ale tak miarkuję, że skoro mówi, że nie ma chęci iść za męża, to jej musi nie mieć i widać jeszcze wstręt do małżeństwa czuje...

Pan Tomasz słuchał uważnie — i lepszej nabrał myśli.

— To niechże państwo wyświadczą mi tę łaskę i nadal pozwolą bywać w swoim domu jako przyjacielowi, na dawnych prawach...

— A ma się wiedzieć, kochany panie. Dla czegoż byś, profesor, miał od nas uciekać jak od zapowietrzonych? Przyjaźń, przyjaźnia, — a ten tego, interesy małżeńskie swoim dworem. — Może byś pan został i na obiadek, bo to kawalerowi w święta gdzie czego szukać? No—zgoda? — Pogadacie ze szwagrem jak wczoraj; a powiadam ci, o dziewczynę nie dbaj; bo to żeby najlepsza, to zawsze młoda koza—boczy się względem męża, jak na stracha w zbożu—dopóki się nie oswoi...

Kubik przygryzł wąsa. Przez chwilę zapachniała mu chęć zobaczenia Joasi—ale ta chęć była sro-dze zaprawiona żalem.

— Jakżeby tu spotkać ją tak zaraz oko w oko—ja, utraconą—prawie utraconą—poprawił... i zaraz przy stole łykać jakieś jadło, kiedy wszystko stanie w gardle!... Niel woli nie widzieć jej dziś, jutro, przynajmniej tydzień...

Zadławiło go—chrząknął — machinalnie rękę do szyi podniósł—i krawat rozwiązał.

Za drzwiami w przedpokoju zaskrobało coś i zapiszczowało.

Pan Leski nie poznając się na chichotach córek, podszedł do kąta i z namaszczeniem, w dobrej wierze zajrzał pod tekturkę ustawioną nad czemś obok spluwaczki.

— Myślałem, że się mysz złapała—rzekł z całą flegmą.—Bo to widzisz, profesorze, ja sobie tu pod tyłu daszkiem zastawiam codziennie pułapkę; ale tylko na dzień, bo tu Wacław sypia, więc nocą myszom harmidru wyprawiać nie wolno; — a czasem, wyobraź pan sobie, dwie naraz się złapią! Dopieroż wtedy zabawa, jak na wyseigach w cyrku!—dokończył śmiejący...

Kubik przez chwilę patrzył na niego z podziwem.

— Niel zaiste, ten ojciec przeszedł w pogodzie ducha i spokoju wszystkich filozofów starożytności!...

Potem w krótkich słowach pożegnał się i wyszedł...

W sypialnym pokoju tymczasem, Joasia przykucnąwszy u kolan matki, usiłowała serdecznymi słowami płaczącą utulić, a zarazem wybadać, o co właściwie jej chodziło.

Ale z oderwanych zdań pani Tekli, które w końcu wśród łkań wypowiadać poczęła, wykazało się, co było od początku: że sama nie wie czego chce, a czego się lęka.

— A—bo—żebyś ty, moje dziecko — już miała iść w taką niewolę, jak małżeństwo—w taką pracę, w takie obowiązki... Profesor może poceiwiy, może kocha cię prawdziwie, — ale żebyś ty już w to jarzmo, w ten móżół, trud, w to zaprzędanie iść miała...—powtarzała w kółko, z czego pokazało się jeno, że ta cicha, na pozór pokorna dusza nie była jednak z życia zadowolona i nie przyjmowała losu swego z poddaniem prawdziwem.

Joasię przykro zadziwiły jej słowa.

— Jarzmo—niewola—móżół—zaprzędanie raziło ją w tych wyrazach—coś obcego znaczeniem dla umysłu; coś przeciwnego dźwiękiem dla duszy pogodnej i chęci do życia i czynu pełnej. Ojciec był tak dobry, łagodny, ustepliwý — dla czegoż matka nie czuła się szczęśliwą?...

Zamyśliła się głęboko; cień przyemił wszystkie porowy jakim poddawała się od dnia poprzedniego.

— Czy naprawdę każde małżeństwo jest tak ciężkie, uciskające?...

W duszy od minionego wieczora czuła się poślubioną Adamowi. — Niel ona nie chciała, aby życie było trudne, smutne, przynębiające!...

Wtem w przyległym pokoju otworzyły się drzwi do sieni od podwórza prowadzącej—i kroki męskie słyszeć się dały.

— Wuj!—szepnęła Joasia.—Ach, jak to dobrze!...

Wyszła i zabrała go do swego pokoiku na rozmowę, jakiej wyczekiwała z upragnieniem.

W jednej minucie, z giętkością młodych, strząsnęła, ze siebie wrazenia ostatnie, a całą duszą poddała się najsilniejszemu, jakie ją przenikało w głębi.

— Dla czego nie oddałaś mi, wuju, wcześniej listu?—zaczęła od pytania, którego wytłomaczyć sobie nie umiała.

— Zatem list cię nie zmartwił? — A ja, widzisz, pomiarkowałem że dużo masz na głowie, chciałem tedy abyś odczytała go w spokoju. Zresztą—prawdą a Bogiem — byłbym wolał oddać go, jak najpóźniej,—a może i wcale.

Joasia, jak gdyby w jednej chwili w ukochanym wuju poczuła nieprzyjaciela, usunęła ramię z pod jego ręki, którą na niej oparł i badawczy wzrok w nim zatopiła.

— Ależ... dla czego? dla czego? Czy nie wiesz, wuju, co mi napisał?

Przeciwnie; wiem — i dla tego właśnie. Adam jest narwaniec, człowiek pełen fantazyi, gwałtowny, wartogłów, szaleniec. Zawsze po części poczytywałem go za takiego—a teraz przekonałem się lepiej. Myślałem tylko, że ta miłość dla ciebie jest jednym z kaprysów, porywem chwilowym i skończy się razem z uniwersytetem; więc, nie wypowiedałem zdania, które obecnie wygłosić szczerze za obowiązek uważam.

Joasia wysłała jego słowa, nie tylko słuchem, a duszą i patrzyła—patrzyła milcząc, choć już mówić przestała.

— Lecz on kocha mnie!—naraz wyrzekła z mocą, jak gdyby ten jeden wyraz, ta miłość jego równoważyła wszystkie wady, ze szczerem niweczyła zarzuty.

— I ja kocham go!—dopowiedziała śmiało, prosto, podnosząc głowę, choć oblała się ciemnym rumieńcem.

Pan Morski westchnął. Zrozumiał, że tu, przynajmniej z jej strony, nie z dziecinną miłością ma do czynienia.

Milczenie między nimi zapanowało.

— Cóż więc takiego Adam popełnił, że tak surowo sądzisz go, wuju? — zapytała w końcu z powagą.

— Jakaś awanturę urządził ze znajomymi w restauracyi, posprzeczał się podobno ostro, potem miał pojedynek.

— Ale zdrów? nie raniony? — błędąc prze-rwała.

— Zdrów, nie mu nie było; ranił przeciwnika... Tylko sprawa ta stała się głośną, więc musi na jakiś czas wyjechać za granicę.

— I to miało teraz miejsce, świeżo?

— Teraz, przed tygodniem. Przytem powiedziałno mi, że przez tych kilka miesięcy, które nie wiedzieć po co przesiadywał w Warszawie, puścił parę tysięcy rubli, że birbantował—to wszystko nie daje rękojmi i nieświeźnie o człowieku świadczy.

Joasia twarz ukryła w dłoniach, jak gdyby z większem skupieniem zebrać chciała myśli, czy w samą siebie wnikać.

Jużciż że te wieści opadały na jej serce ciężkimi grudami. Była za młoda, za niewinna, aby nawet przypuszczać haniebne powody pojedynku, lub zdradę serca. Wogóle nie pojmowała, aby można kochać, a jednak przენiewierzyć się pod wpływem chwilowego popędu, podrażnienia zmysłów, poprostu przez zagranie krwi gorącej w żyłach przy woli słabej, a naturze nieokiełznanej. Ufała Adamowi ślepo. Zresztą niewiary nie podkopywało, skoro przed kilku miesiącami kochał i obecnie znów otwarcie wyznawał, że kocha. Więc nie o miłość jego trwogą się przejęła; lecz o coś, czego wytłomaczyć nie umiała. Oto poprostu: raniła jej serce ujma, jaką postępowaniem swem wyrządzał ideałowi, który w nim widziała, i lekkiem przenikało to błąkanie się wśród niebezpieczeństw życiowych, które lubo niejasno, zamajaczyły wszakże w jej wyobraźni. Ale oczywiście niepokój był przelotny. Dziecko nie może przerażać się złem, którego nie zna — i świecę chwyta ręką, póki się nie sparzy.

Ufność wzięła w niej górę. Wszystkie oskarżenia stały się dzieciństwem. Z głębi jej szlachetnej duszy wyłoniło się to, co było logicznym wynikiem jej natury, pojęć, wrodzonego i wyrobionego poczucia obowiązku i gorącej chęci spełnienia dobra na świecie.

— Czyś czytał jego list, wuju?—zapytała, nagle sięgając za staniak.

— Nie; mówił mi tylko, że zapytuje cię, czy mógłby przyjechać i czybyś go chciała.

Joasia szybko wyciągnęła papier z za gorsetu, rozłożyła i palcem wskazała panu Kazimierzowi ustęp, w którym Adam pisał, że mu była ukojeniem, władzą i hamulcem.

— Więc widzisz, mój drogi wuju! On sam czuje, że nieraz postępuje źle; wierzy jednak, iż powstrzyma się i zmienić zdoła... Z miłości dla mnie — dodała w duchu. — Ja niczego się nie lękam, chcę aby przyjechał—i jeśli wyjdę za męża, to tylko za niego, jednego.

— Czy mówiłaś z rodzicami?—zapytał po namyśle pan Kazimierz.

— Dotąd nie; lecz bardzo trudno było mi tę sprawę ukrywać, zwłaszcza dzisiaj; bo wyobraź sobie, mój wuju, że przyszedł tu profesor Kubik.

— I oświadczył się o ciebie?

— Tak.

— Domyślałem się, że to robi.

— A ja nigdy!

— I odmówiłaś?

— Rzecz prosta. Ani przypuszczałam nawet, że mu się podobam.

— Boś miała czem innym uwagę zaprzątniętą; nie chciałaś widzieć.

— Ech, on mnie nudzi, z tem ciąglem „bóstwem“ i Olimpem!

— A jednak to człowiek pewno dziesięć razy więcej wart niż Adam! Serce już bruzdzić zaczyna w twem życiu; a pamiętaj dziecko, że i z uczuć człowiek zdaje sprawę;—nie powinien tak im pozwalać sobą zawładnąć, aby życie się marnowało.

Joasia zadumała się. Oczy miała spuszczone, czoło miała białe w otoczeniu jasnych włosów—jakby zasepione. W końcu źrenice podniosła, uśmiechnęła się z nagłą światłością w rysach i do wuja pochylała.

— Ja chcę być szczęśliwą! — szepnęła z tym dźwiękiem w głosie, który mówił, iż w swem mniemaniu wie, w czem szczęścia szukać—i wierzy iż się nie myli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

**Dzień feralny**, komedia wierszem w 1-ym akcie Jordana. — **Doktor z musu**, komedia w 3-ach aktach Moliera. — **Madame Sans-Gène**, komedia w 3-ach aktach z prologiem, Wiktoryna Sardou. — **Harde dusze**, dramat w 5-ciu aktach (6 odsłonach) z powieści Elizy Orzeszkowej, przerobiony na scenę przez Zygmunta Sarneckiego.

Proszę tego nie uważać za zaniedbanie obowiązków stałego sprawozdawcy w dziale teatralnym, że dzisiaj dopiero odzywam się pod nagłówkiem nabrzmiałym w tytuły tyłu nowości naszego repertuaru z ostatnich kilku tygodni; uczyniłem to z rozmysłem, nie chcąc przeładowywać pisma artykułami o teatrze wtedy, kiedy nie wiele byłoby o nim do powiedzenia.

Wolałem czekać, aż się nazbiera więcej materiału, aby uporać się z nim odrazu i nie rozwlekać zanadto mojej recenzji.

Poranek benefisowy p. Szymanowskiego, reżysera komedyi i dramatu, był niejako materyalnem tylko wynagrodzeniem tego artysty, który trzydzieści lat pracował na scenie a przed kilkoma miesiącami uległ nieszczęśliwemu wypadkowi złamania nogi, co go na pewien czas odsunęło od obowiązków reżyserskich.

Dla talentu i zasług p. Szymanowskiego, jako artysty, miałem zawsze szczerze i należne uznanie; —



działalność jego i kwalifikacje, jako reżysera, w historii warszawskiej sceny uważałem, otwarcie mówiąc, za mniejsze i zwłaszcza w porównaniu z jego poprzednikami, nadające się więcej do ujemnej niż do dodatniej krytyki.

Dzięki zastępstwu i koleżeńskiej pomocy p. Ładnowskiego, poranek benefisowy głównego reżysera Rozmaitości wypadł okazale, bo nabrał cechy poważnej i zabłysnął firmami, których p. Szymanowski unikał tylko w układanym przez siebie repertuarze. Obaczyliśmy na afiszu od niepamiętnych czasów po raz pierwszy znowu nazwisko Moliere'a a obok niego Szekspira, przy fragmencie wprawdzie tylko „Koryolana“, ale bądź co bądź wprowadzonego przecież na scenę dla honoru sztuki i teatru.

„Doktor z musu“ zabawił swoim niezwiastym humorem i dowcipem dziesięć publiczność tak samo, jak przed dwustu trzydziestu laty, kiedy po cofnięciu ze sceny „Tartuffe'a“ i „Don Juana“, naprędce musiał wypełnić lukę w repertuarze. Ta gruba, ostra ale wesoła satyra na nieuctwo ówczesnej medycyny, nie straciła dotąd swojej siły komicznej i ów Sganarelle w obawie kijów, które mu grożą, udający mimo woli doktora i pozujący na uczzonego Eskulapa, nie przestał być dotąd śmiesznym i zabawnym w swoich opadach, z których się sprytnie wykręca.

Jest w nim humor rubaszny i nie w najlepszym gatunku, to prawda; jest mniej oryginalności w pomysłach i efektach zapożyczonych u różnych autorów farsy francuskiej z XVI-go wieku, aniżeli w innych sztukach Moliere'a, to także prawda, ale z tem wszystkimi publiczność, nie mająca okazji poznania twórcy „Świętoszka“ lub „Chorego z przywidzenia“ ze znakomitszych jego dzieł na scenie warszawskiej, była i z tej próbki w niższym rodzaju zadowolona, chociaż byłoby właściwiej tego „Doktora z musu“ pokazać jej na deskach Teatru Małego, aniżeli Rozmaitości; tylko, że wówczas p. Frenkiel nie byłby nas przekonał, ile komicznego materiału marnuje się w nim nie z jego winy na bohaterów Molierowskiemu repertuaru i jakim wybornym mógłby być Arganiem albo Jerzym Dandin.

Jedyną nowością poranku benefisowego była jednoaktówka Jordana p. t. „Dzień feralny“, która z wdzięczną blueta tego autora „Wśród lasu“, powiększyła szereg eleganckich i dowcipnych dyalogów, napisanych gładkim, poprawnym i potoczystym wierszem, jakim nie wielu dzisiaj autorów dramatycznych włada.

Jednoaktówki nie wymagają szerokich tematów i pod względem formy stawia się im zazwyczaj większe wymogi, aniżeli pod względem treści.

„Dzień feralny“ jednak stara się obu względom zadosyć uczynić, bo pod lekką napozór szatą dyalogu, osłania poważniejszy motyw uczuciowy; ten pan Jan, wzorowy gospodarz, zapalony agronom, przejrzał już trochę kawaler, który po latach dziesięciu spotyka owdowiałego ideał swojej młodości w postaci pięknej, eleganckiej i sprytniej pani baronowej, próbującej w popiołach jego serca rozdmuchać jeszcze ostatnią iskierkę dawnych uczuć, nabrał pod piórem Jordana głębszej charakterystyki indywidualnej i psychologicznej.

Bardzo umiejętnie, kilkoma lekkimi rysami zaznaczył autor w nim poważniejszą naturę człowieka, który kochał, zawiódł się a dzisiaj nie chce odsłaniać blizn na pokrzywdzonym sereu, maskując się przybranymi pozorami wystudzonego i zmateryalizowanego hreczkosieja.

Pani Lüdowa z p. Leszczyńskim tworzyli dobraną parę zajmujących figur w tym miłym i zabawnym obrazku.

Repertuar nasz nie posiada i nie zasila się wielu takimi *levers de rideau* w lepszym smaku, zatem „Dzień feralny“ uważać należy za dobry i pożyteczny nabytek dla sceny a powodzenie jego powinno zachęcić Jordana do dalszej w tym rodzaju twórczości.

Mało sztuk w ostatnich czasach zyskało tyle rozgłosu, co „Madame Sans-Gêne“ Wiktoryna Sardou i co dziwna, więcej o niej mówiono i pisano w Berlinie i Wiedniu, aniżeli w samym Paryżu, a co wiele znamienne i uwagi godne: więcej zajmowano się kwestyą lepiej lub gorzej zagranej roli tytułowej, aniżeli tematem i wartością samej komedii, więcej wystawą aniżeli akcją, więcej portretem

podobieństwem Napoleona w niej występującego, aniżeli charakterystyką jego osoby.

Publiczność szła wszędzie do teatru, jak do *panopticonum*, w którym woskowe figury w świetnych kostymach, udające z większym lub mniejszym złudzeniem żywe postacie historyczne pierwszego Cesarstwa, poruszały się na sprężynach i pozwalały się... oglądać.

Ta czysto zewnętrzna strona sztuki, ten efekt optyczny, który przeważał ponad wszystkim, z góry pozwalały oceniać komedję *quasi-dziejową* słynnego majstra francuskiego, pokrywającego na starość brak świeższej inwencji, osłabionego dowcipu i wyczerpującego się talentu doświadczoną rutyną.

W ostatnich latach dziesięciu Sardou nie stworzył nic już więcej godnego siebie i mogącego równać się z dziełami jego dojrzałej epoki; pozostała mu jednak niepospolita technika pisarska i znajomość sceny, jak dobremu śpiewakowi, który traci głos, pozostaje jeszcze metoda, szkoła.

Cóż za ogromna różnica zaszła pomiędzy autorem „Cwiartki papieru“ a „Krokodyla“, „Safandulów“ a „Tosci“, „Naszych najserdeczniejszych“ a „Kleopatry“, „Ojczyzny“ a „Madame Sans-Gêne“!.. Odkąd tworzyć zaczął na urząd, jakby na obstalunek, powstawały efemerydy sceniczne, z wirtuozowskim popisem w głównej roli dla jednej artystki, która swoją grą zapewniała im dłuższy lub krótszy żywot teatralny.

Do takich też sztuk należy owa udratyzowana anegdota historyczna o księżnej gdańskiej, marszałkowej Lefebvre, byłej praczki i markietanki zwycięskiej armii Napoleona.

Przechwalała się Sardou a stugębna reklamaparyzka powtarzała to na różne tony, iż przechodzi na grunt naukowy i tworzy komedję historyczną; rozpowiadano o studyach, o nowo wykrytych dokumentach z tej ciekawej i jaskrawej epoki, którą miał zużytkować w nowej swojej sztuce.

Wystawiono z nadzwyczajnym przepychem „Panią Sans-Gêne“ na scenie, powierzono tytułową rolę słynnej p. Rejane, ulubienicy prasy i publiczności Paryża, umebłowano apartamenta marszałkowej i cesarza sprzętami stylowymi, autentycznymi, pościąganiem z muzeów i zbiorów prywatnych, aż do najdrobniejszych szczegółów, i przekonano się, że owa historyczna komedya była przereklamowaniem... „librettem do operetki“, jak ją złośliwie ale trafnie nazwał jeden z krytyków.

Historii nie należy szukać w niej, a tem mniej rzeczywistej i właściwej charakterystyki osób o głośnych nazwiskach, jakimi rozbrzmiewał koniec zeszłego i początek bieżącego wieku; autor wprowadził manekiny, figury woskowe, jasełka historyczne, w paradnych kostymach i zadzwilił sobie po prostu z historii i publiczności, — ale mimo to, celu dopiął, zewnętrznym efektem pociągnął i obalamował tłumy, tłoczące się do teatru, by zobaczyć gabinet Napoleona, salon marszałkowej gdańskiej, wspaniałe toalety dam dworu w Compiègne, malownicze dolmany i bermice cesarskich adjutantów i złotolite fraki dygnitarzy państwa.

A zwłaszcza sam Cesarz w swoim zielonym mundurze, wymieniony na afiszu, wywierał ten magnetyczny wpływ najpopularniejszego w XIX-ym stuleciu bohatera, którego cheiano zobaczyć wcielonego w artystę o możliwie podobnej masce i pozaturze na scenie.

Krytycyzm tłumy nie bywa wybredny ani głęboki; nie obruszył się też na to, że mu pokazano zarykaturowany obraz epoki i ludzi, którzy w pierwszym lepszym podręczniku historycznym wierniej i prawdziwiej są przedstawieni, że poprzekręcano i ponaciągano fakta, pozbierano anegdoty i zlepiono z nich całość, nawet bez tej kuglarskiej zręczności, z jaką to się zwykło robić w komedjach francuskich. Sama postać bohaterki tytułowej nie wytrzymywała przedewszystkiem ścisłej krytyki; połączył autor w niej dwie różne osobistości, praczkę i wiwandierkę, Teresę Figuerre, (która brała udział w wyprawach Napoleońskich i znaną była nawet samemu cesarzowi z ciętością, energii i poświęcenia pod przeważaniem „Madame Sans Gêne“ w armii), z Katarzyną Hübscher, późniejszą marszałkową Lefebvre, pochodzącą również z ludu, jak jej mąż, sierżant 13-go pułku piechoty, który walecznością swoją zdobył sobie stopień po stopniu

generalskie epolety w bitwie pod Fleurus r. 1794 a potem i łaskę marszałkowską.

Z tych dwóch figur Sardou złożył trzecią i uczynił ją bohaterką swojej komedii, bohaterką przeszczarowaną, nieprawdopodobną, ale zajmującą na scenie o tyle, o ile może być graną przez wyjątkowo uzdolnioną artystkę do ról charakterystyczno-komicznych z przymieszką liryzmu.

Ta figura z historycznego parawanu rusza się zwawo, pociąga swoją naiwną prostotą, typową rubasnością, ale i szczerością prawej natury kobiety z ludu, swoim weredyzmem i ciętością, którą broni siebie i drugich wobec złośliwości dam dworu, dobrokiewiczów w mitrach książęcych i koronach królewskich, wreszcie zdrową logiką i dowcipem, którym rozbraja nawet samego Napoleona, dawnego swego klienta, gdy mu pierała i uaprawiała bieliznę na kredyt w czasach, gdy był jeszcze tylko kapitanem Bonaparte.

Stosunek anormalny tej księżny-praczki do swego otoczenia, kontrast, jaki tworzy z tłumem i resztą figur wypełnia ramy i akcję sztuki bardzo niejednolicie nakreślonej.

Z usposobienia jej i charakteru wypływają przyuczyny, które wywołują kolizje niby dramatyczne; językiem swoim naraża się siostrze Napoleona, manierami *ex-markietanki* ośmieszają wobec dworu, rezultat tego taki, że cesarz każe marszałkowi wzięść z nią rozwód, ale pani Sans-Gêne idzie sama bronić swojej sprawy wobec despotycznego monarchy i wygrywa ją, ujmuje go dla siebie swoją prostotą, szczerością i prawdomównością, a zarazem przypomnieniem zasług, które armii oddała podczas wypraw wojennych.

Z tą akcją zbyt bląhą i wątłą, jak na komedję czteroaktową, połączył autor drugą, także bardzo szkiecowo traktowaną pod względem scenicznym, a bardzo naciąganą pod względem prawdy i historyczności; jest nią rzekomy romans hr. Neipperga, generała i posłannika cesarza Franciszka austriackiego, bawiącego u dworu Napoleona, z małżonką jego Maryą Ludwiką.

„Bohater w szlafroku“, jak pierwszy lepszy filister z mieszczańskiej komedii, robi swemu mniemanemu rywalowi scenę zazdrości, chwytą go na nocnej schadzce, oddaje służbie i każe potajemnie rozstrzelać.

Sardou nabija jednak zwykle swoje działa ślepymi nabojami i do katastrofy nie dopuszcza w komedii.

Rzecz się wyjaśnia i hr. Neipperger nie pada ofiarą podejrzeń i porywełości cesarza, jak swego czasu padł ks. d'Enghien. Ułatwiają mu w stanowczej chwili ucieczkę i komedya kończy się pomyślnym rozwiązaniem supełków bardzo wątpliwj intrygi.

M. Gawalewicz.

(Dokończenie nastąpi).

## Szkoła sztuki stosowanej malarskiej.

Przyszły chwile, w których obudzone wewnętrzne uczucie godności kobiecej, objawia się coraz to nową i energiczną działalnością kobiet na polu wszelkiej pracy ludzkiej.

U nas co prawda więcej jest jeszcze teorii i rozmaitych projektów niż zastosowań praktycznych, ale powoli i u nas nawet wchodzi kobiety na nowy gościniec produkcyjnej pracy.

Do garstki śmiałych i samoistnych pracownic na warszawskim bruku, należy artystka malarka p. Bronisława Poświkowa, uczennica profesora Gersona, od lat sześciu prowadząca szkołę sztuki stosowanej malarskiej, raz do roku oddając pod sąd ogółu wyniki całorocznej pracy i tak swojej własnej, jak i swoich licznych uczennic.

Wystawa jaką przed kilku dniami oglądałam, dowodzi przedewszystkiem dwóch ważnych kwestyj — pierwszą, a zasadniczą w naszych warunkach, jest korzystne zastosowanie nabytej umiejętności, — drugą, prawdziwie artystyczną zdolność wykonania, bez której tego rodzaju prace nie miały by więk-



szego artystycznego znaczenia, jakim nade wszystko powinny się odznaczać.

Ile potrzeba umiejętności, cierpliwości i energii, aby otrzymać prawdziwie zadawalniające rezultaty z działalności powierzonych sobie uczennic, ten tylko może mieć pojęcie, kto wie, ile to sumienny nauczyciel łoży pracy i starań osobistych, aby własną umiejętność przelać w uczniów.

Dla tego też i dodatnie wyniki powyżej wzmiankowanej wystawy, zależą niewątpliwie od umiejętnego kierownictwa i sumiennego zajęcia się uczennicami.

Jedne z nich, nabywszy tutaj umiejętności w kilku gałęziach, zastosują ją dla zarobku, drugie użyją jej na uprzyjemnienie sobie chwil swobodnych—lecz jedne i drugie mogą mieć to przekonanie, że czasu nie straciły na próżno, przysparzając krajowi sił produkcyjnych własnych, jakich w tym kierunku, niegdyś szukano na obczyźnie.

Konieczność pracy, budzi uwagę na każde pole przemysłu, wiele z nich jeszcze leży odłogiem—te zaś, które wzięto pod uprawę, należy z całych sił popierać, aby już nie tylko głównym działaczom przyjść w pomoc, ale i całemu ogółowi przynieść poważne materialne korzyści.

A teraz przypatrzmy się trochę wystawionym pracom.

W prywatnej pracowni kierowniczkich szkoły jest kilka wielkich płócien, wykonanych na zamówienie dla jednej z naszych dam z wyższego świata. Zaletą ich jest przedewszystkiem świeżość i wierność kolorytu, usterkami błędy perspektywiczne, które z łatwością artystka usunąć może.

W serwisach porcelanowych uderza także wierność kolorytu, tak trudna do zastosowania przy wypalaniu porcelany, oraz śmiały i poprawny rysunek, nadając tym okazom prawdziwie artystyczną wartość.

Dalej idą prace zupełnie już wykonane starszych uczennic i tych, które od kilku miesięcy uczęszczają do zakładu.

Uczennice dawniejsze przedstawiły studia z natury, kwiaty i martwą naturę.

Najlepszymi z nich są prace p. p. Arndtówny, Popławskiej i H. Pezachowiczowej.

Główny dział stanowią gobeliny wykonane przez p. Janinę Niewiarowską, Maryę Komierowską, A. Rybińską i Karolinę Poświkównę, które kartony węglowe zaczerpnięte z Legendy o Matce Boskiej Stachewicza i robione podług tego gobeliny na in-flandzkim płótnie powszechnie wzbudziły zainteresowanie.

Artystycznie wykonane malowidła na eleganckich mebelkach, parawanach, ekranach i t. p. przedmiotach i drobnych cackach, dały p. p. Rotwandówna, Klauzińska, Gins, Tomitow i Popławska.

Oprócz tego mieszczą się także na wystawie szkice do gobelinów, mnóstwo drobnych studyów, portrety kolorowane na fotografii, a nade wszystko ładnie malowana porcelana. Z załączonego obrazu, można powziąć wyobrażenie o szerokim zakresie działalności na polu artystyczno-przemysłowym malarskim, z którego umiejętnie ręce, mogą obficie zbierać plony, co dla szukających pracy kobiet jest kwestyą pierwszorzędnej znaczenia.

M. Chelmońska.

## List z Anglii.

Maj zalicza się w Londynie do najweselej spędzanych, najprzyjemniejszych w całym roku miesięcy. Parlament kończy już prace swoje, a rocznica urodzin królowej Wiktorji przypadająca w dniu tego 25, obchodzona bywa bardzo uroczysto nie tylko przez sfery społeczeństwa wyższe, ale cześć jaką naród cały żywi dla szlachetnej tej pani sprawia, że dzień ten jest świętem narodowym dla każdego Anglika. Królowa zaczęła w dniu tym rok siedemdziesiąty szósty, a dodać trzeba, że panuje już lat

pięćdziesiąt osiem, zawsze przecież od początku do końca tak czczona i kochana przez cały naród angielski, jako rozumna i dobra, szlachetnego serca i umysłu kobieta. W dniu tym rząd kraju rozdaje też zwykle ordery i dostojności przeróżne, aby był tem uroczystszy, a w roku bieżącym świat literacki, wziął tu udział wybitny. Anglia jest dotąd krajem przeważnie arystokratycznym przy zupełnej równości zasadniczych praw człowieka szanuje ona wysoko godność szlachecką, którą zdobywała niegdyś zasługa rycerska, gdy w obronie granic swego kraju stawał mur piersi ludzkich. W bieżącym roku przyznano ją czterem szlachetnego talentu osobistościom ze świata sztuki i literatury. Walter Besant, powieściopisarz wyższego natchnienia i wzniosłych na życie poglądów, jest tu pierwszym pomiędzy niemi; dość już to nadmienić, że go obrano prezesem Towarzystwa literatów nie tylko w skutek tego, że tworzy rzeczy estetycznie piękne, ale że wkłada w nie myśli i uczucia wzniosłe, które przez samą siłę swego wyrazu oddziaływają na czytelnika, podnoszą poziom ideałów jego życia.

Postacie kobiet są zawsze w utworach jego szlachetnie, poetycznie piękne; powieść „Katarzyna Regina“, „Verbena Camelia“, „Nora Creina“, pociągają czytelnika urokiem czystego wdzięku, połączonego zawsze z ideą życia wyższą. Został on prezesem Towarzystwa literatów i stał się stróżem nie tylko ich przywilejów, ale i obowiązków względem społeczeństwa, a jakim jest wpływ dzieła jego na czytelnika dość powiedzieć, że jedna z najszlachetniej dobroczynnych instytucji londyńskich „Pałac Ludu“, wznoszący się na East End, o którym już wam kiedyś pisałem, powstała z jego inicjatywy—z jego myśli i obrazów, które czytelnicy spotykają w jednej z jego powieści, przedstawione sobie, zapragnęli wcielić w żywe życie.

Drugim z kolei laureatem jest poeta, Lewis Morris. Anglia ma dwóch tego nazwiska rymotwórców; William Morris zajmuje tu jedno z miejsc najpierwszych, tuż obok Swinburne, który stoi zawsze najwyżej na stopniach parnasy angielskiego, nie mniej Lewis Morris zyskał już też sobie uznanie niepospolite, zyskał sympatya szerszych kół publiczności czytającej, a jego ostatni poemat „Epic of Hades“, należy do dzieł, które pozostaną na zawsze w literaturze angielskiej. Trzeci z rzędu, William Howard Rusfel, to jeden z najstarszych dziennikarzy angielskich, który przez takt rozumny w traktowaniu przedmiotów poruszanych, przez wyższy nastrój myśli, wyższe na życie ludzkości poglądy, stał się też szanowanym wielce, zwłaszcza że jego koledzy po piórze zaczynają schodzić niżej, niż to było niegdyś w tej gałęzi literatury angielskiej. Konkurencya, a przez nią ubieganie się o efekta silne, doprowadzić muszą do tego i odzywają się też głosy ludzi poważnych, że potrzebnem tu jest technicznie jakieś ożywcze, jakiś wyższy pogląd na życie i jego sprawy, jeżeli dziennikarstwo angielskie, nie ma się w dół osunąć, nie ma utracić tej powagi, jakiej potrzebuje każda gałąź piśmiennictwa. Przecież rzeczą najwybitniejszą ze względu na dotychczasowe stosunki angielskie w życiu społecznem, na przywileje angielskiej arystokracji i wagę, jaką tu ma szlachectwo, jest indygenat przyznający tę godność Henrykowi Irving, aktorowi wielkiego talentu i genialnej niemal intuicji w pojmovaniu wielkich postaci szekspirowskich. Rodem z małego miasteczka, więc mogący widzieć jedynie przedstawienia trup wędrownych, tak się entuzjastycznie rozkochał w zawodzie aktora, że osiemnastoletnim chłopcem zbiegł z domu rodziców, aby o głodzie i chłódzie zdobyć sobie marzone szczęście wcielania się w królów i bohaterów wzniosłych.

W obec tutejszego układu stosunków społecznych krok to niemały w kierunku postępu. Sztuka we wszystkich działach swoich sięga obecnie po indygenat godności dostojnej, co nastąpić też musi z jej rozwojem pełniejszym, a zatem z przeniknięciem się jej urokami szerszych kół narodu. Malarstwo stoi tu zawsze na pierwszym planie i Londyn posiada trzy stałe wystawy tej sztuki: w „Royal Academy“, w „New Gallery“ w „Grafton Gallery“, a na takie miasto jak stolica Wielkiej Brytanii, to bynajmniej nie za wiele. „Royal Academy“ z natury rzeczy zajmuje tu miejsce pierwsze i corocznie otwarcie tej wystawy jest uroczystością, połączoną

ze wspaniałym bankietem urzędowym, na którym znajdują się zwykle znakomitości wszelkich stopni i gałęzi, bo obok członków rodziny królewskiej i ministrów mieszczą się literaci i uczeni, a wszystkich przyjmuje bardzo uroczysto prezes Akademii, sir Fryderyk Leighton, którego przecież w bieżącym roku nie było w Londynie w powodu choroby, która mu nakazała pobyt pod niebem południa, z kądem przecież już nie powrócił i zastępując go przyzwał wice-prezes, sir John Millais, na którego przemowę odpowiedział, jak zwyczajnie pierwszy minister, lord Rosebery, wykazując w szlachetnie pięknych słowach znaczenie sztuki dla społeczeństwa—jej oddziaływanie tak na jednostki, jak i na ogół, któremu przedstawiając szlachetny ideał piękna, broni go ona od poszukiwania niższego rzędu rozkoszy.

Kilka tysięcy obrazów to przecież nadmiar, wśród którego widzieć niełatwo i nieprędko rozejrzeć się może, sąd swój formułując. Portretów była w tem liczba bardzo znaczna, a gdy dodamy niedawno urządzoną wystawę historyczną „Pięknych kobiet“, a obecnie „Pięknych dzieci“, przedstawia to taki nawał wrażeń estetycznych, że nie odrazu zorjentować się tu można. Dorocznym bankiet „Royal Academy“ odbył się też ze wspaniałością wielką, jak to bywa corocznie. Współuczestniczył w nim książę Wali, książę Connaught, Coburg-Gotha, Sasko wejmarski, Teek, oraz wszyscy wybitni członkowie parlamentu, lord major Londynu, reprezentanci literatury, sztuki, reprezentanci handlu, co razem tworzyło zgromadzenie, jakie nieczęsto widzieć można, a było tu razem zasiadających do uczyt wspólnej 864 osób. Sir John Millais, półwiekowy członek i dostojnik akademii, malarz wyższego znaczenia, przypomniawszy zaproszonym, że pacholęciem młodem, bo mając niespełna lat dwanaście, zaczął tu naukę rysunku, a stypendyum otrzymane po upływie roku pozwoliło mu kształcić się dalej, dzięki czemu mógł iść za natchnieniem swoim, stać się nie tylko szczęśliwym, ale zarazem i użytecznym członkiem społeczeństwa swego, pracując dla zdobycia mu ideału, bez którego ludzkość poniżyć by się musiała—zejść do realnego tylko, więc poziomu życia, w dół jego zepchnięta.

Na zakończenie sprawozdania z działu tego dodam, że obraz Alma, Tedemy „Wiosna“, to skreślona farbami niewymownie wdzięczna sielanka poety Swinburne. Jest to rój dzieci różnego wieku, przeciągających między pałacami greckiego miasta, a niosących wieniec, bukiety kwiatów; wśród dzieł rzeźby odznacza się najwybitniej grupa wielkości naturalnej: „Ofiara Izaaka“ przedstawiająca trzy postacie biblijne: Abrahama, Izaaka i anioła w chwili, gdy ten zatrzymuje ręką ojca, mającego spełnić ofiarę okrutną na dziecku swoim.

Dwudziestopięcioletnia rocznica śmierci znakomitego powieściarza, Dickensa, którego pióra utwory szlachetne tłómaczone są na wszystkie języki narodów ucywilizowanych, ochodzona tu była uroczysto, a dodać trzeba, że brały w tem udział stany wszystkie, bo trzy tanie edycje powieści jego dały poznać czytelnikom warstw wszelkich te pełne uroku i wysoce zajmujące obrazy życia, mieszczące w sobie zawsze myśl podniosłą, wyrażoną przecież z tą prostotą, która je czyniła popularnymi. Królowa Wiktorja ma album, gdzie obok portretów i biografii wszystkich wybitnych a osobicie jej znanych ludzi, którzy odeszli już w zaświat, miesi się też i wspomnienie o Dickensie, skreślone nie tylko jako ocena jego literackiego talentu, ale i uwydatnienie tej myśli szlachetnej, która przewodniczyła jego pióru,

Rocznica zgonu trzech rozgłosnej sławy synów Anglii przypada zbiciem szczególnym nie tylko w miesiącu jednym, ale i w dniu tym samym: 19 kwietnia. Zamknął w nim oczy Byron, Beaconsfield, Darwin, a „Times“ zamieścił w dniu tym, jak corocznie pogrzebową kartę wielkiego poety, jak gdyby technicznie życia jego uszło teraz właśnie, a łączy się z tem wzruszająca historia czynu kobiety, umiejacej czuć piękno szlachetne, umiejacej czuć tę wdzięczność, jaka należy się wielkim ludziom, podnoszącym sztandar uczuć i myśli wzniosłych, więc podnoszących duchy ludzkie. Pewna, nieznaną szerszemu ogółowi z nazwiska swego pani, zapisała w testamencie dość znaczną sumę dzienniko-



wi „Times“, który jest napoczytniejszym w Anglii całej pismem peryodycznym, aby ogłaszał każdorocznie w dniu zgonu Byrona o jego śmierci tak, jak gdyby czy poety zamknęły się obecnie. Obok tego w dniu wymienionym powinien być, także w skutek tego nakazu testamentowego, zawieszony wieńiec róż białych, na pomniku wieszczą; nazwisko jego zostanie wyrzyte w marmurze na wiekowe trwanie, budząc pamięć jego w pokoleniach następujących po sobie. Wymieniony dziennik pisze niezmiennie w rubryce nekrologii każdego dziesiętnastego kwietnia: „In memoriam: Jerzy Gordon Noel, lord Byron, oddał szlachetnie życie za Grecją w Missolonghi, d. 19 kwietnia 1824 r. Miłość, która go tam wysłała, zapomniała ocalić młodego, pięknego, walecznego.“

Życie ludzkie nieraz bywa poematem i musi tak być, jeżeli poemata istnieć mają, bo z jakiejże innej głębi powstać one mogą? jak mogą się wytworzyć? Uroczystość, która się tu odbyła w d. 18 maja, nazwać można finałem poematu takiego. W Haworth, osadzie należącej do hrabstwa Yorku, a położonej wśród wzgórz skalistych, zaludnionych gęsto rodzinami robotników fabrycznych, zostało założone i oddane pod opiekę komitetu narodowego muzeum pamiątek po trzech siostrach Bronte, które skromnie i cicho wiodły tu istnienie pracowite między ludem ubogim i ciężko zarabiającym na kawałek chleba w fabrykach. Dymy kominów fabryk owych zasłaniają tu błękit nieba, roślinność na gruncie skalistym nie krzewi się bujnie, oko rzadko może spotykać się z tem, co zwiemy pięknosciami wśród natury, a trzy przysze poetki były w dodatku sierotami bez matki. Ojciec ich był pastorem; parafia jego rozległa rozrzuconą była wśród gór i dolin, parowów głębokich, więc pracować było musiała jej obsługa, zmuszająca do utrudzających wycieczek, a człowiek to był słabowity, przytem uczony oddawał więc resztę wolnego czasu książkom, że zaś obok tego środki materialne były bardzo skromne, więc skłopotany nieraz, bardzo mało zajmował się dziećmi, choć je kochał gorąco. Trzy siostry: Emilia, Karolina i Anna, zaczęły też pojmować położenie, zaczęły pracować o ile mogły, a Karolina ledwie skończywszy lat dwadzieścia puściła się w świat na pracę ciężką—pracę nauczycielki. Z oszczędności i zarobków uczenia dzieci wiejskich, zebrany grosz pozwalał jej udać się do Brukselli, gdzie znalazła sobie miejsce nauczycielki języka angielskiego, ucząc się na odwrót francuzkiego.

Praca jej nie ciężka; tęsknocie samotnego istnienia między obcymi nakazała milczenie, ale niespodziewane nieszczęście skrzyżowało drogę jej życia. Najmłodsza z siostr, Anna, umarła i serce Karoliny zatęskniło też za ogniskiem rodzinnem, porzuciła zajęcie korzystne, zapewniające jej byt spokojny, wróciła do domu gdzie smutno było i głucho, wraz z siostrą starszą oddała się pracy literackiej. Ale skromna, nie śmiała podpisywać się nazwiskiem swoim wtedy nawet, gdy utwory jej zostały przez krytykę stawiane wysoko. „Po co mi rozgłos...“ mówiła przyjaciółom, którzy pragnęli dla niej sławy, a jak szlachetną, jak głęboko uczciwą i niesamolubną była, dowodzi fakt, że długo, bo całe dwa lata odpychała wyciągając się do niej rękę gorąco kochanego człowieka dla tego tylko, że czując się wątłą i zmęczoną nie chciała stać mu się ciężarem. Ale stała jego miłość zwyciężyła w końcu; był on, jak ojciec jej, pastorem; życie jej cicho i łagodnie płynąć by mogło w warunkach spokojnego szczęścia, ale zabrakło już jej sił do tego. Śmierć zamknęła jej łagodnie powieki, umarła w 1855 r. ale pozostał w utworach jej wyraz uczuć i myśli szlachetnych—pozostała tradycya, jak można cicho i w ustroniu życia być użyteczną.

Biografią jej skreśliła kobieta, pojmująca również życie z jego stron górnych, Miss Gaskiell, a wejrzawszy szczegółowo w głąb tego czystego i użytecznego istnienia zajęła się tem gorąco, aby pamięć tej dostojnej została utrwaloną przez instytucyę, któraby w szeregu wieków wykazywała kobietom, że mają i one otwarte sobie pole do sławy, jaką daje zasługa, jeżeli zasługi tej umieją szukać w kierunku odpowiedniej dla nich pracy.

Do pożytecznych stron działalności społeczeństwa angielskiego zaliczyć należy zawiązaną tu niedawno „Ligę przyjaciół zwierząt.“ Liga to jest

ludzi dobrej woli, występujących przeciwko udrczeniu tych stworzeń niemych, któremi człowiek zarządzał, czyniąc z nich poddane woli swojej narzędzie pracy. Liga posiada znaczną liczbę członków i w d. 18 maja zebrało się na dorocznem jej zgromadzeniu w Londynie, w Pałacu Kryształowym, przeszło 200,000 osób. Chcąc tu wpajać, szczególnie w młodzież klas pracujących, poczucie litosnego miłosierdzia, Towarzystwo usiłuje oddziaływać na uczniów i uczennice szkół ludowych za pośrednictwem odpowiednich broszur i zadawanych przez nie wypracowań w tym przedmiocie, z których najlepsze zyskują nagrody, rozdawane zwykle przez księżnę Yorku. Ostatnim razem stanęło tu do popisu 493,514 młodzieży płci obojczy ze 1,240 szkół i szkółek Londynu, więcej 10,000 niźli było w roku zeszłym, a z której do liczby 77 otrzymało nagrody najwyższe, to jest stypendya trzyletnie w sumie 100 funtów szterlingów rocznie. Rozdawanie nagród odbyło się bardzo uroczystie, a książę Yorku asystował też przy tym akcie. Odezwwał się o tem z naganą jeden z poważnych organów prasy „Century Magazine“, dowodząc, że czyn dobry ze szlachetnego uczucia wypływający nie powinien odbierać żadnej już nagrody prócz zadowolenia wewnętrzznego, ale ta nagroda daje możność kształcenia się wyższego, pozyskania wiedzy szerszej, więc nieczem nie ubliża i nie szkodzi nieczemu.

Przychodzi też tu musi z pomocą i miłosierdzie, bo pomimo rozwiniętego przemysłu, pomimo pracy nie leniwej i ułatwień jej możliwych, panuje w Londynie obok wielkich fortun i niezamożność taka, że w dzielnicy Kensington, nienależącej bynajmniej do ubogich zaułków, 17,200 rodzin z klas inteligentnych mieści się w jednym pokoju, a 18,900 w dwóch tylko. Karol Booth uczony statystyk i badacz tych stosunków, którym poświęca się wyjątkownie, autor olbrzymiego dzieła „Life und Labour of the people of London“ (Życie i praca ludności Londynu) wydał znowu dwa ich tomy obszernie, pełne bardzo smutnych, ale dla anglika pouczających szczegółów. Za ciasno tu już jest ludziom, ale kolonie, które Anglia usiłuje coraz to rozszerzać, tworzą upust, a że rasa anglo-saksońska umie dźwigać się na nogi, bo umie pracować i podejmuje pracę jako obowiązek, jako potrzebę istoty ludzkiej, nie przebierając czy ciężka jest lub lekka, naród ten da sobie radę,

Jako ilustracyę tego zdania mogą służyć dzieje życia ludzi, stojących tu dziś wysoko. Uczony naturalista, Huxley, kształcił się na lekarza i lat wiele praktykował medycynę jako lekarz okrętowy, że przeciwieństwo pisał i drukował broszury z zakresu nauk przyrodniczych, zwrócono na niego uwagę i ofiarowano mu katedrę paleontologii w uniwersytecie londyńskim. Podobnie Herbert Spencer, syn profesora matematyki, kształcony był na inżyniera i także już w tym kierunku pracował, ale jak tylko stanął na nogach o sile własnej, oddał się filozofii i stał się w tym kierunku sławnym. John Tyndall, irlandczyk z rodu, nie pobierał żadnych nauk więcej nad te, które dać mu mogła szkoła miejska, mając lat dziewiętnaście został konduktorem kolejowym, w chwilach wolnych pracował nad nauką i doszedł do tego o własnej sile, że został korepetytorem w szkółce prowincjonalnej, potem wybił się na gwernera i tak pracując na zarobek grosza, starannie oszczędzanego i kształcąc się jak mógł w warunkach życia moralnych, zdołał na koniec rozwinąć skrzydła. O zebranych najwyższą oszczędnością zasobie, puścił się w świat: wyjechał, wstąpił na uniwersytet w Wiedniu i tak dźwigając się zwolna, zdobywając sobie coraz więcej wiedzy i uznania, stanął u szczytu swoich pragnień — stał się uczonym i sławnym człowiekiem.

Henryk.

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie, donoszą iż ministerium finansów opracowało znaczną liczbę ustaw, mających na celu poparcie krajowych wyrobów żelaza. Między środkami dążącymi do tego celu, powstał zamiar nałożenia wysokiego cła na przedmioty żelazne, sprowadzane z zagranicy. W celu dokładniejszego zbadania tej kwestyi, utworzona będzie komisya mieszana z przedstawicielami różnych ministeriów.

— Wystawę drukarską w Petersburgu, zwiedziło od dnia jej otwarcia 32,000 osób. Dochód z opłaty biletów wejścia przyniósł do tej pory 12,000 rs.

— Ogólny zjazd przedstawicieli kolei żelaznych, postanowił wśród obrad swoich potrącanie pewnej kwoty z pensyi urzędników na rzecz przytułku dla inwalidów kolejowych.

— Pogrzeb ś. p. biskupa wileńskiego Awdziewicza odbył się przy wielce licznych współudziale publiczności. Trumnę niosło z pałacu biskupiego czterech dyakonów i dwóch kleryków, do katedry wzniosło ją ośmiu kleryków, a towarzyszyły żałobnemu obchodowi obok duchowieństwa nieprzeliczone tłumy ludzi. Trumnę, złożono w podziemiu, gdzie spoczywa już siedmiu biskupów wileńskich; jest ona cynkową, a otacza ją druga, drewniana.

— Pod samym Mińskiem, ma powstać kolonia dla nieletnich przestępców. Inicytorem tego pożytecznego przedsięwzięcia jest p. Maas, budowniczy miejscowy. Ofiarował on na ten cel znaczną przestrzeń ziemi we wsi Serebrianka, w pobliżu Mińska; instytucya ta ma się utrzymywać ze składek ludzi dobrej woli.

— W kościele katedralnym S-go Jana, odbył się akt uroczysty instalacyi kanonika Rocha Filochowskiego na prałata kapituły metropolitalnej archidiecezyi warszawskiej. Ceremonii tej dokonał dziekan kapituły, J. E. książę biskup sufragan Ruskiewicz z obec całej zebranej kapituły i licznie zgromadzonego duchowieństwa. Książę prałat Filochowski urodził się w 1838 r., we wsi Choromany w powiecie ostrołęckim, szkoły ukończył w Łomży w 1858 r., seminarium w 1860 r. Akademię duchowną w 1864 r., ze stopniem kandydata teologii.

— Przyłączenie do obrębu Warszawy przedmieść położonych za rogatkami wolskimi i powązkowskimi, aż do plantu kolei obwodowej, ma być w przeciągu bieżącego roku dokonaniem. Przybędzie zatem Warszawie przeszło 250 posesyi z ludnością około 14,000 osób.

— Handel obrazami świętymi, medalikami, szkaplerzami, rozwinął się bardzo, tak w Warszawie, jak i w całym kraju, a siedliskiem jego głównym jest Częstochowa, lecz choć wyroby tamieczne są bardzo tanie, przeciwieństwo pod względem artystycznym, bardzo licze, z tego też powodu zamierza sprowadzać je z zagranicy jeden z przedsiębiorców warszawskich. Czy przeciwieństwo będą one pokupne, nie dla tego nawet że droższymi być muszą? Sądzić można, że nie; należało by niemniej, aby powstał zakład obrazów i obrazków pobożnych w naszym stylu, kopiowanych ze wzorów naszych, więc odpowiadających potrzebom pobożnych uczuć naszego ogółu.

— W Górze Jaroszyńskiej, w powiecie kozienickim odbyło się poświęcenie odnowionej świątyni starożytnej, zbudowanej w 1764 r., przez księcia Czartoryskiego Augusta w stylu renesansu włoskiego.

— W Sosnowcu wzniesiony został już prawie pod dach nowo budujący się kościół, lecz do ukończenia tej świątyni jest jeszcze daleko, potrzeba tu bowiem według kosztorysu około 5,000 rubli, gdy komitet budowy, posiada całego zapasu 6,000 rs. Urządząca się tu na cel pomnożenia funduszu tombola w parku siedleckim, nie przyniesie wiele i nie takimi to środkami zbierać tu grosz



należy. Niech ludzie dobrej woli powiedzą sobie, iż są potrzeby społeczne, do których każdy, coś dołożyć obowiązany, czuć się powinien, a grosz do grosza składany wytworzy zapas dostateczny. Komitet budowy, obstalował już przeszło sto wagonów wyrobów kamiennych w Bodzechowie na budowę ołtarzy i posadzki kościelnej.

— W Chruslinie, w dekanacie warszawskim, odkryto w kościele miejscowym przy odnawianiu tynków i odskrobywaniu wapna obrazy klejowe, zniszczone przecież zupełnie przez wapno. Ściany świątyni pokryto nowymi freskami pendzla p. Aleksandra Przewalskiego; wszystkie ornamentacje i dekoracje obrazów, arkad, trzymane są w stylu Odrodzenia. Obrazów jest przeszło czterdzieści.

— Do wsi Studzieńca, w powiecie Słubickim powrócił jeden z wychodźców do Brazylii, Józef Hajek, który w 1890 r. porzucił żonę, dziecko i z dwunastu rublami w kieszeni przeszedł granicę, dostał się do Bremy, gdzie otrzymał miejsce bezpłatne na statku przeznaczonym do przewozu emigrantów i znalazł się nakoniec w Rio-de-Janeiro, gdzie przebywał półczwarta roku służąc za stróża. Zawiedziony w marzeniach swoich, pragnął wrócić do kraju, ale trzeba mu było zapracować na możność przybycia tam, więc pracując ciężko składał grosz do grosza, aż nakoniec zdołał dostać się na okręt i po męczącej, w przykrych bardzo warunkach odbywanej podróży dostał się do Genui, ztamtąd wreszcie przez Austrię do kraju i po czterech latach ciężkiej pracy, przejść bardzo przykrych przywiózł ze sobą zapasik odpowiadający sumie 66 rs. Przyznał też otwarcie, że zbłądził—zbłądził ciężko, że w domu zarobił by więcej przy mniejszym wysiłku i mniej oszczędzając. Że nie on jeden doświadczył tego, zapisał do emigracyi ostygł, co przecież okupionem zostało kosztem wielu cierpień i nędzy setek obalamuconych ludzi.

— Na dorocznym posiedzeniu krakowskiej Akademii Umiejętności, które zagał minister Dunajewski, przemawiał hr. Tarnowski Stanisław, następnie St. Smolka odczytał sprawozdanie rocznej działalności Akademii i po ogłoszeniu nazwiska nowych członków czynnych, rozdano nagrody: nagrodę Barczewskiego otrzymali po 1,125 zł. reń. Władysław Mickiewicz za żywot Adama Mickiewicza, Henryk Siemiradzki za koryntę teatru krakowskiego, Józef Brandt za obraz „Modlitwa Ormian.“ Nagrodę Lindego wzięł D-r Bolesław Erzepki za słownik łaciński Bartłomieja z Bydgoszczy z r. 1532.

— S. p. Władysław Kościelski, znany pod nazwą Sefera baszy, zapisał gminie miasta Krakowa zbiory swoje, po odebraniu których wydelegowanym został p. Łuszczkiewicz i udał się w tym celu do zamku Berchtoldstein, gdzie się mieszczą. Zamek ten położony na wysokim wzgórzu, uderza i pociąga wzrok stylem swym średniowiecznym, przedstawiając oczom z zewnątrz wspaniałą budowlę, a wewnątrz nie dające się obliczyć skarby pamiątek i piękności średniowiecznej sztuki, przytem bogate zbiory broni średniowiecznej, oraz różnych ludów, które zgromadzone tu razem tworzą muzeum wysokiej i rzadkiej wartości.

— Donoszą ze Lwowa, że Wydział krajowy rozpiisał konkurs na dwie nagrody z fundacyi Franciszka Kochmana. Jedna nagroda jest 500 zł. reń., druga 1,000 zł. reń. dla dwóch dzieł w języku polskim uznanych za najlepsze, a ubiegać się o nie mogą wszyscy literaci polscy bez względu miejsca zamieszkania. Terminem ostatecznym jest dzień 31 grudnia 1895 r., a dopuszczają się do konkursu wszystkie dzieła oryginalne z wyjątkiem treści religijnej i teologicznej. Ubiegać się również mogą o nagrody wydawnictwa materyałów, jeżeli im towarzyszy samodzielna praca autora jak i dzieła drukowane w latach poprzednich, niedawniej przecie niż w 1886 r. Prace autorów zmarłych mogą na-

leżeć do konkursu, jeżeli nie upłynęło więcej niż lat trzy od daty śmierci. Prace takie mogą być wyjątkowo przedstawiane w rękopiśmie, ale w takim razie przyznana im nagroda powinna być przedewszystkiem obrócona na ogłoszenie dzieła drukiem. Własność literacka dzieła premiowanego zostaje przy autorze; nagroda przyznana dziełu autora zmarłego przypada jego spadkobiercom, w braku ich komisya konkursowa wskaże cel na który ma być obrócona. W skład komisji konkursowej wchodzi osób jedenaste, przewodniczącym jest Antoni Jaksza Chamiec, członek wydziału krajowego, wraz z nim Dr. Zygnunt Samolewicz inspektor szkolny krajowy są kuratorami fundacyi, wyznaczeni przez radę miasta. Jako przedstawicieli zawodu naukowego powołał wydział krajowy osiem osobistości wybitnych, a między niemi Benedykta Dybowskiego prof. uniwersytetu lwowskiego, Antoniego Małeckiego byłego profesora tegoż uniwersytetu, Ludwika Kubale prof. gimnazjum.

— Malarz Teodor Oxentowicz, lwowianin, zamieszkujący obecnie w Paryżu, został zawezwany do Londynu przez ks. Argyllę, dla wykonania portretu katolika ormian, Migrydycza. Katolikos przesłał mu w tym celu pontyfikalne swoje szaty. Artysta ten zyskał już sobie wielkie uznanie.

— Wystawa poznańska przedstawia się oczom widza bardzo wdzięcznie, bo zdobi ją zieloność w całym swym letnim już rozwoju. Dział pracy kobiet przedstawia się oczom bardzo mile i jest też licznie zwiedzany, w ogóle bywa tu najmniej 1000 osób dziennie. W pierwszych dniach bieżącego miesiąca przybyło dla jej zwiedzenia czterestu uczniów wyższej szkoły agronomicznej w Dublinach pod przewodnictwem pięciu profesorów, a zamierzonym jest zwiedzenie przez nich niektórych, postępowo prowadzonych gospodarstw, a to w Oporowie, posiadłości hr. Mieczysława Kwileckiego i hr. Stefana Kwileckiego w Dobrzewowie. W hali przemysłowej mieści się czytelnia, posiadająca prawie wszystkie dzienniki tutejsze obok pism warszawskich i krakowskich.

— Parzytkie czasopisma donoszą, że p. Jerzmanowski, niegdyś student naszej Szkoły aplikacyjnej a następnie szkoły inżynierji w Metz, a który w nieszczęśliwej dla Francyi chwili w 1870 r. mężnie walczył za nią, przesłał dziennikowi „Figaro“ list, w którym załączył 256 franków z prośbą, aby redakcyja tego pisma zechciała przesłać tę sumę komitetowi zajmującemu się wzniesieniem w parku Monceau pomnika Szopenowi, przyczem dodał gorące podziękowanie stowarzyszeniu, które tę myśl podjęło i w czyn ją wprowadza. „Figaro“ dodaje, że ofiarodawca jest synowcem generała Pawła Jerzmanowskiego, który wiernie trwał w przywiązaniu do Napoleona I-go i towarzyszył mu na Elbę.

## M Y Ś L I.

Poczucie obowiązku ilustruje najszlachetniej wszystkie wyższe enoty człowieka: męstwo, podniosłość ducha, miłość enoty, pogardę życia w spoleniu.

Podwalina i podstawa takiego stanu moralnego, któryby pozwalał człowiekowi żyć w zabezpieczającej go odporności przeciwko złym wpływom, to siła woli i karność moralna.

Wychowanie jest pierwszym i wielkim działaniem w kształtowaniu się tego moralnego porządku myśli i uczuć, który tkwiąc w naszej indywidualnej naturze, nazywa się charakterem. Tam gdzie wśród pojedynczych osobistości przeważa brak charakterów silnych i prawych, naród upada. Trwałość i potęga wszelkich instytucji społecznych polega na charakterach i nie ilość osobników ludzkich, ale charakterów tworzy postęp.

Dom rodziny jest szkołą nietylko dla dzieciństwa człowieka. Towarzyszka życia pozioma jako umysł i serce, poniża męczyznę przez ciągły wpływ drobnostek i małości, z których buduje ona świat swój. Jeżeli pierś męża nie może odetchnąć w pełni całą atmosferą domową, pierś ta zwięza się i zaciesnia, a skoro uciekając przed tą torturą ducha odosobnia się od rodziny, życie jego uboży się o najszlachetniejsze swoje pociechy i takie chwile istnienia przez siłę gorących serca uderzeń radosne, których nic w ekonomii szczęścia zastąpić nie zdoła.

Szczęście to spokój ducha i utrzymana godność nasza, to spełniony obowiązek i czystość sumienia, nie skalane niczem ręce i niepochyłona głowa, nieponiżona w nas istota ludzka, niezaparta prawda, nieodstąpiona sprawa święta.

*Smiles.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römera. Przekład z niemieckiego, ark. 10.

## OD WYDAWCY.

„Bluszczy“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

**TREŚĆ:** Pogawędka, przez ?? — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez M. Gawalewicza. — Szkoła sztuki stosowanej malarskiej, przez M. Chełmońską. — List z Anglii, przez Henryka. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

**Dodatek obejmuje:** **Co jest szczęście?** powieść przez Aleksandra Römera, przekład z niemieckiego ark. 10-ty. — Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.